GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 STYCZNIA 1935 R.

NR. 2 ROK V

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 2

1935 R.

15 — I

ZDARZENIA i POGLĄDY

OBECNY ETAP HITLERYZMU

Znamieniem wielkich ruchów społeczno - politycznych ostatnich lat jest to, że w przeciwieństwie do rewolucji komunistycznej w Rosji ich ideologja, ich program gospodarczy stanowią w momencie rozpoczęcia, a nawet zwycięstwa danego ruchu wielki znak zapytania. Niejasność treści społeczno - gospodarczej była w ruchu hitlerowskim szczególnie silna. Hasła tego ruchu, stanowiące konglomerat politycznych dążeń i ambicyj rewanżowych, z postulatami gospodarczymi drobnomieszczaństwa i ogólnikami na temat przebudowy społeczno - ustrojowej, oraz interpretacja szersza tego programu, zawarta w pracach najstarszych teoretyków ruchu hitlerowskiego, akcentująca obok ogólnego, antykapitalistycznego nastawienia, szczególny antagonizm w stosunku do kapitału finansowego i do „niewoli procentów" — nie stanowiły niewątpliwie jednolitej, jako tako zwartej całości. To też od dość dawna, jeśli nie od początku, zdawano sobie sprawę (czemu i my daliśmy wyraz), że istotna treść społeczno - gospodarcza ruchu hitlerowskiego z tych haseł i z tych prac wyłowić się nie da, że manifestować się ona będzie w działaniu nowej partji, w formach nieoczekiwanych, nie dających się na zasadzie enuncjacyj, wydawanych przed zdobyciem władzy, przewidzieć. Niewątpliwie podjęte zostały przez ruch hitlerowski pewne próby realizowania w sposób bezpośredni, natychmiastowy, niektórych punktów programowych. Ale, bezwątpienia, nie te próby nadały ton, nie te próby stanowią o charakterystyce polityki gospodarczej rządu hitlerowskiego. Treścią tej polityki stało się nakręcanie konjunktury drogą inflacyjnego finansowania życia gospodarczego i... dalsze dążenie do wzmocnienia autarkji. Nawet tak głośne poczynania, jak organizacja stanu żywicielskiego, przymusowe ceny na artykuły rolnicze i specyficzna organizacja obrotu tymi artykułami, były przedewszystkiem funkcją tych dwu naczelnych wytycznych, o których wyżej mowa. Moment dążenia do korporacyjnej przebudowy społeczeństwa bezwątpienia odgrywał tu rolę wtórną.

Ostatnie miesiące i tygodnie przynoszą szereg zjawisk, o różnej doniosłości, ale o pokrewnym wyrazie i charakterze. Mamy na myśli przedewszystkiem niezmiernie wymowną falę dymisyj, które objęły nietylko podsekretarza stanu Federa, najstarszego teoretyka hitleryzmu, ale podobno nawet grozi ministrowi Darre, z którego nazwiskiem zrośnięta była praca nad stworzeniem korporacji rolniczej. Jeżeli dodamy do tego sygnalizowane przez prasę zjawiska takie, jak przebudowa frontu pracy, polegająca na odebraniu tej instytucji możliwości samodzielnej inicjatywy gospodarczej, jak zahamowanie ruchliwości Hitlerjugend i wogóle obozu, akcentującego postulaty społeczne — tło ostatnich wypadków staje się wyraźne. I na tem tle tem jaskrawiej występuje postać doktora Schachta, który w reżimie hitlerowskim jest czemś więcej niż jednostką, jest symbolem polityki na-

cjonalizmu gospodarczego, realizowanego w tej czy innej drodze i postaci, ale w każdym razie akcentującego silnie, a nawet wyłącznie momenty z zakresu polityki konjunkturalnej i z płaszczyzny rozgrywki gospodarczej Niemiec z resztą świata, z pominięciem natomiast momentów przebudowy społecznej, które w oficjalnym programie partji do dziś pozostały, aczkolwiek datują się z przed okresu przewrotowego.

Nie stawiamy tej sprawy w płaszczyźnie, w jakiej się ją najczęściej stawia. Nie chodzi nam o to, czy i o ile hitleryzm spełnia dawane przezeń obietnice społeczne. W pewnym sensie nigdy nie traktowaliśmy tych obietnic jako monety pełnowartościowej, co wynika z użytego przez nas na wstępie określenia, iż *istotna* treść społeczno - gospodarcza hitleryzmu nie znajdowała w naszem przekonaniu wyrazu w programie NSDAP. Natomiast stwierdzić należy, że tradycyjna, odziedziczona przez hitleryzm polityka autarkiczna, oraz polityka nakręcania konjunktury, podjęta w równym stopniu z przesłanek gospodarczych, jak i z politycznych, polityka, stanowiąca cenę utrzymania zdobytej świeżo władzy, zaciążyły w tym stopniu nad krystalizowaniem się społeczno - gospodarczej treści ruchu hitlerowskiego, iż w tej chwili jesteśmy dalej jeszcze od możliwości określenia, czem miałby się stać hitleryzm w procesie przebudowy ustroju społecznego i gospodarczego, niż w momencie zdobycia przezeń władzy. Chyba — że przyjmiemy alternatywę, iż niczem. Tak, czy inaczej, sytuacja jest niewątpliwie wysoce trudna, zważyć bowiem należy, że równocześnie polityka gospodarcza Niemiec, prowadzona pod hasłem zmniejszenia zależności od importu z jednej, a sztucznego ożywienia konjunktury z drugiej strony, znalazła się w najtrudniejszej chyba z dotychczasowych faz.

DYSKUSJA UBEZPIECZENIOWA

Wydany przed czterema laty pierwszy numer Gospodarki Narodowej przyniósł artykuł, dotyczący zagadnienia obciążeń społecznych, a więc przedewszystkiem ubezpieczeń społecznych, następne zaś numery obszerną dyskusję nad tem zagadnieniem. Przed niespełna rokiem, kiedy na łamach prasy codziennej potoczyła się nie ożywiona już, ale raczej powiedziećby należało, namiętna dyskusja w sprawie ubezpieczeń społecznych, Gospodarka Narodowa ograniczyła się do zamieszczenia krótkiego artykułu w Nr. 7 — 1934, a w dalszych numerach krótkiej polemiki.

Nie jest to dziełem przypadku, zwłaszcza nie jest dziełem przypadku, abstynencja od szerszej dyskusji w okresie zeszłorocznym. Z chwilą, kiedy sprawa ubezpieczeń społecznych przeszła na łamy prasy codziennej, stać się musiała i stała się przedmiotem dyskusji żywej i o szerokiem kole uczestników, natomiast — jak wszelka dyskusja w prasie codziennej—nieuporządkowanej i niesystematycznej. Zadaniem pisma tego rodzaju jak nasze, powinno być nietylko umożliwienie jak najbardziej wielostronnego wypowiedzenia się w danej sprawie, ale również wniesienie pewnego porządku, pewnego planu w omawianie problemu, tak, ażeby omawianie to w miarę możności zakończyć, jeśli nie *uzgodnieniem* poglądów dyskutujących, to conajmniej *zwężeniem* płaszczyzny dyskusji, wyłonieniem *istotnie spornych* punktów. Takiemu postawieniu sprawy niewątpliwie nie sprzyjał okres dyskusji w prasie codziennej, dyskusji, prowadzonej w przededniu oczekiwanych zmian w systemie ubezpieczeń, a więc tembardziej jeszcze nacechowanej piętnem pośpiechu i dominującym akcentem bezpośredniej aktualności. Wydawało nam się, że w tych warunkach dyskusja, prowadzona na łamach dwutygodnika, nie może spełnić swoich zadań, nie może odegrać właściwej roli, że musi być ona zdystansowana pod względem tempa i żywości przez dyskusję w prasie codziennej. I dlatego właśnie ograniczyliśmy się do wzmiankowanych już wyżej skąpych uwag w tej materji.

Sądzimy natomiast, że nadszedł już czas do wznowienia na łamach naszego pisma dyskusji nad zagadnieniem ubezpieczeń społecznych. Te zewnętrzne przeszkody, jakie dla omówienia sprawy w sposób spokojniejszy i bardziej systematyczny istniały przed rokiem, ustąpiły, zagadnienie reformy ubezpieczeń, tracąc na bezpośredniej aktualności, zyskało na wadze. Do wzięcia udziału w omawianiu sprawy zaprosiliśmy obok stałych współpracowników naszego pisma szereg osób, szczególnie w danej dziedzinie kompetentnych, ustalając jednocześnie pewien porządek i system omawiania przedmiotu. Mamy nadzieję, że uda nam się w ten sposób stworzyć możliwie korzystne warunki dla możliwie wyczerpującego omówienia sprawy.

Rozpoczynając dyskusyjne omówienie sprawy, nie możemy rzecz prosta zajmować w niej stanowiska redakcyjnego. I dlatego kończymy na wyrażeniu podziękowania tym osobom, które stojąc dalej od naszego pisma, zechciały jednak przyobiecać swój współudział w dyskusji, umożliwiając tem pogłębienie jej.

PROF. DR. JAN ŁAZOWSKI

PO DYSKUSJI—PRZED DYSKUSJĄ

W walce prowadzonej w ciągu ubiegłego roku na łamach prasy przeciwko ubezpieczeniom społecznym wysuwają się na czoło dwie grupy argumentów. Jedne z nich starają się cyfrowo wykazać przerost ubezpieczeń społecznych w stosunku do możliwości gospodarczych oraz przerost ich aparatu administracyjnego, drugie kwestjonują celowość ich jako takich.

Argumenty pierwszej grupy (trzeba lojalnie przyznać, że również i kontrargumenty) cechuje niedostateczność materjałów, na których się opierają. Stopień obciążenia produkcji składkami na ubezpieczenia społeczne, który ma charakteryzować właśnie przerost w stosunku do możliwości gospodarczych, nie może być ustalony bez zbadania kalkulacji produkcji, bez dokładnego poznania elementów jej kosztów. Na danych takich nie opierała się publikacja ministerjalna z r. 1926, gdyż danemi temi nie rozporządzała. Dane osiągnięte dla niektórych przemysłów przez Komisję Ankietową z r. 1928 są danemi dorywczemi i ustalonemi nie według jednolitego systemu. Danych tych nie posiada ani rząd, ani organizacje gospodarcze. Dlatego wszelkie cyfrowe argumenty o obciążeniu gospodarstwa narodowego przez ubezpieczenia społeczne mogą posiadać wartość publicystyczną, nie mogą natomiast mieć pretensji do wartości naukowej. A bez naukowego zbadania problemu, tworzenie koncepcyj uzdrawiających musi zaprowadzić na manowce. To też, aby uczciwie i solidnie stwierdzić wpływ obciążenia przez składki ubezpieczeniowe na produkcję, należy wejść na drogę analogiczną do tej, jaką poszedł rząd, tworząc swego czasu Komisję Ankietową. Inne drogi napewno do Rzymu nie zaprowadzą. Podobnie problematyczną wartość posiadają z analog. względów argumenty o przeroście aparatu administracyjnego ubezpieczeń społecznych i o nadmiernych sumach wydawanych na ten aparat. I tu brak naukowo opracowanych materjałów. Dane dostarczane przez instytucje ubezpieczeń społecznych nie są usystematyzowane i wyraźnie nie dają obrazu kosztów administracji. Gorzej jeszcze sprawa przedstawia się, jeśli idzie o ocenę wielkości aparatu i obciążenia jego kosztami składek. Muszą tu być ustalone pewne kryterja, w znacznej mierze oparte na porównaniach. Do opracowania więc i tych zagadnień należy dopiero przystąpić. Taksamo ocena sprawności aparatu ubezpieczeń społecznych musi oprzeć się na metodycznie zebranym materjale. Trzeba w całokształcie działalności instytucyj wykryć cechy ujemne, nie można stwierdzać ich „pasożytnictwa" na podstawie sporadycznie ujawnionych mankamentów.

Zatem sprawa obciążenia produkcji przez ubezpieczenia społeczne, sprawa ich kosztów administracyjnych oraz ich sprawności powinna być przesuniętą z płaszczyzny polemik publicystycznych na płaszczyznę badań. Wyrażając to zdanie, temsamem stwierdzamy, iż wymienione zagadnienia powinny być nadal przedmiotem dyskusji, idzie o to tylko, aby dyskusja odbywała się we właściwem świetle.

Inaczej rzecz się przedstawia z argumentami drugiej grupy. Te argumenty, sądzimy, powinny być już raz wreszcie wycofane z obiegu. Polegają one bowiem na nieporozumieniach, bądź też — są wysuwane nieszczerze — zasłaniają stanowisko, którego argumentatorzy nie chcą ujawnić. Rozpatrzymy je pokolei:

Ubezpieczenia społeczne są luksusem; dziś, gdy trudno zaspokoić potrzeby dnia bieżącego, niepodobna myśleć o zaspakajaniu potrzeb przyszłych. Otóż ubezpieczenia społeczne są produktem określonego stadjum rozwoju kapitalizmu. Mają one na celu pokrywanie ryzyka związanego z pracą jednostek, należących do określonych grup społecznych. Stąd ich charakter społeczny, a nie prywatny, leżą one w interesie zbiorowości, nie tylko jednostek. Faktem jest, że postulat wprowadzenia i rozbudowy ubezpieczeń społecznych jest postulatem wszystkich organizacyj świata pracy bez względu na zabarwienie polityczne. Ponieważ organizacje te krystalizują w sobie interesy mas pracujących, należy przyjąć, iż ubezpieczenia społeczne dla tych mas nie są luksusem lecz potrzebą pierwszego rzędu. Oczywiście zależy to od stopnia kultury świata pracy w danym kraju. Jeśli chodzi o Polskę, to, pomimo narzekania na funkcjonowanie ubezpieczeń społecznych, masy umieją już ocenić korzyści z ubezpieczeń płynące. Ubezpieczenia społeczne, jak ubezpieczenia wogóle mają na celu zapewnienie pokrycia potrzeb przyszłych. Niezawsze jednak idzie przecież o potrzeby w czasie odległe. Ubezpieczenia na wypadek choroby, od wypadków i braku pracy mają do czynienia z potrzebami, które stają się aktualnemi w czasie najbliższym. Wskutek tego są one powołane do zaspakajania potrzeb niemal dnia dzisiejszego. Z potrzebami w czasie odległemi mają do czynienia ubezpieczenia emerytalne. Jeśli jednak jest faktem trudność zaspakajania potrzeb dnia dzisiejszego, to tembardziej istnieje konieczność istnienia ubezpieczeń, któreby osobom mniej zdolnym do konkurencji na rynku pracy zapewniały możność egzystencji, a z drugiej strony, dzięki właśnie zapewnieniu egzystencji starcom, inwalidom, wdowom i sierotom, zmniejszały ilość jednostek przepełniających ten rynek. Ubezpieczenia społeczne są urządzeniem, które leży bezpośrednio w interesie produkcji. Zapewniając bowiem środki egzystencji osobom korzystającym ze świadczeń, przyczyniają się do utrzymania równowagi pomiędzy produkcją i konsumpcją. Wszystko to wskazuje, że ubezpieczeń społecznych niepodobna uważać za luksus, ani z punktu widzenia świata pracy, ani z punktu widzenia nawet produkcji. Należy sobie postawić pytanie, czy, gdyby nie istniały ubezpieczenia społeczne, nie powstałyby inne urządzenia, któreby je musiały zastąpić i któreby też wyciągnęły ze społeczeństwa odpowiednie fundusze. Oczywiście ubezpieczenia społeczne musia-

łyby zastąpić: opieka społeczna, odpowiedzialność pracodawców, organizacje pomocy wzajemnej pracowników. W krajach, gdzie nie wprowadzono ubezpieczeń społecznych, albo w ograniczonym zakresie, koszty opieki społecznej są bardzo znaczne. Również kosztuje odpowiedzialność pracodawców. a przytem pociąga za sobą szereg kosztów bezcelowych, spowodowanych procesami. Nawet organizacje pomocy wzajemnej, kasy emerytalne pracownicze, ubezpieczenia prywatne, obciążają nie tylko pracowników. Albo pod naciskiem pracowników pracodawcy ponoszą część ciężarów, albo płace pracownicze muszą być podniesione. Ubezpieczenia społeczne historycznie wyrosły właśnie na gruncie takich urządzeń jak z jednej strony odpowiedziałalność pracodawców, z drugiej organizacje wzajemne. Nawrót więc do tych urządzeń nie stanowiłby postępu. raczej znaczny krok wstecz. Szczególnie ostro są krytykowane u nas świadczenia lecznicze ubezpieczeń społecznych. Zapomina się, że instytucje ubezpieczeń społecznych spełniają w tym zakresie w znacznej mierze zadania innych organizacyj i organów. Jeżeli wziąć pod uwagę jaką rolę odgrywa lecznictwo w zagadnieniach populacyjnych, trudno będzie działalność leczniczą ubezpieczeń społecznych przy słabo rozwiniętem lecznitwie publicznem nazwać luksusem.

Ubezpieczenia społeczne wyciągają z produkcji poważne wartości majątkowe. Jasną jest rzeczą, że ubezpieczenia społeczne pozbawiają producentów części zysku. Jednak sumy uzyskane przez ubezpieczenia społeczne tylko w części wychodzą poza obręb produkcji, mianowicie, w tej części, która idzie na świadczenia aktualne i koszty administracyjne. Znaczna część tych sum wraca do produkcji drogą lokat. Trzeba przytem zaznaczyć, że, gromadząc przez tworzenie rezerw większe zasoby finansowe, ubezpieczenia społeczne w miejsce słabszej akumulacji kapitału u poszczególnych producentów, stwarzają przesłanki akumulacji w większych rozmiarach i umożliwiają bardziej celowe zużycie akumulowanych wartości. Możnaby powiedzieć, że, jeśli idzie o akumulację kapitału, to ubezpieczenia społeczne jej sprzyjają, zmieniają jednak ośrodek dysponujący akumulowanemi kapitałami, zastępują ośrodki prywatne, ośrodkiem publicznym. Czy w ten sposób dokonywana akumulacja wywiera znaczniejszy ujemny wpływ na poszczególne gałęzie produkcji i na poszczególnych producentów, możnaby ustalić jedynie w drodze badań, o których mówiliśmy na początku niniejszego artykułu.

Ubezpieczenie na wypadek choroby jest sprzecznością samą w sobie, gdyż choroba jest zdarzeniem, które dotyka wszystkich. Argument ten został wysunięty w polemice o ubezpieczenia społeczne wprawdzie tylko raz jeden, ze względu jednak na czasopismo, w którem udzielono mu miejsca, i na pióro, zdradzające poważnego ekonomistę, niepodobna go pominąć na tem miejscu milczeniem. Otóż ubezpieczenia obejmują nie tylko takie zdarzenia, które występują jedynie u niektórych jednostek z pośród zagrożonych, ale również i takie, które dotykają wszystkie jednostki zagrożone, byle nie w jednym i tym samym czasie. Typowem zdarzeniem tego rodzaju jest śmierć, która dotyka wszystkich, ale nie jednocześnie. To samo mamy z chorobą, która zdarza się prawie każdemu, lecz w różnych momentach, a przytem nie we wszystkich przypadkach trwa jednakowo długo. Dlatego to można część pokrycia zapotrzebowania rozkładać na wielką ilość jednostek, którym ona zagraża, co właśnie jest istotną funkcją ubezpieczenia. Ponieważ tak jest z każdą chorobą, dlatego każda choroba, wzgl. wszystkie choroby ogólnie. mogą być objęte ubezpieczeniem.

Ubezpieczenia społeczne osłabiają przezorność osobistą, a w szczególności osobistą oszczędność. Ubezpieczenia społeczne gwarantują pokrycie zapotrzebowania, wywołanego przez zdarzenia losowe, w granicach minimalnych. Kto jest zatem dostatecznie przezornym, wzgl. ma możność oszczędzania, ten będzie starał się uzupełnić świadczenia ubezpieczenia społecznego w drodze przezorności indywidualnej. Natomiast nieprzezorni i wszyscy ci, którzy z uwagi na niskie zarobki oszczędzać nie są w stanie, bez ubezpieczeń społecznych byliby skazani na korzystanie ze świadczeń opieki społecznej lub dobroczynności publicznej. Zresztą oszczędność indywidualna nigdy nie może zastąpić ubezpieczenia, które w istocie nie jest niczem innem jak oszczędnością zbiorową podejmowaną w związku z możliwością zajścia określonego zdarzenia losowego. W ubezpieczeniu podobnie jak przy oszczędności indywidualnej, czyni się wydatek obecnie na rzecz wydatków przyszłych. Jednak przy oszczędności indywidualnej oszczędzający może zużyć zebrane indywidualnie zasoby w każdej chwili, w ubezpieczeniu — zebrane *społecznie* sumy mogą być wypłacane tylko na pokrycie skutków ściśle określonych zdarzeń losowych. Z drugiej strony oszczędność indywidualna staje się skutecznym środkiem walki z konsekwencjami zdarzeń losowych tylko wtedy, gdy proces oszczędzania trwał dostatecznie długo to znaczy zapotrzebowanie nastąpiło w momencie dość odległym od początku tego procesu, ubezpieczenie natomiast zapewnia pokrycie zapotrzebowania w każdej chwili. Oszczędność indywidualna zatem znakomicie uzupełnia działanie ubezpieczeń, zastąpić ich jednak nie może.

Sądzimy, że omówienie powyższych argumentów powinno przyczynić się do oczyszczenia na przyszłość terenu dyskusji o ubezpieczeniach społecznych.

HENRYK GRENIEWSKI

PROBLEMATYKA UBEZPIECZEŃ SPOŁECZNYCH

Zadanie niniejszego artykułu jest skromne i trudne[0]). Skromne, gdyż ambicją autora jest w tym wypadku przekonanie czytelnika (takiego tylko, który ma jeszcze zdrowie i cierpliwość zajmowania się sprawą ubezpieczeń społecznych w Polsce), że zagadnienia, dotyczące ubezpieczeń społecznych, są wysoce skomplikowane. Zadanie postawione jest trudne, gdyż jego wykonanie jest przeciwstawianiem się aktualnej modzie, zwłaszcza jej krzykliwym, a najbardziej popularnym objawom.

Przyjmijmy założenie następujące: Powierzono nam (t. j. czytelnikom niniejszego artykułu oraz jego autorowi) jako komisji pracę nad budową (lub przebudową) systemu ubezpieczeń społecznych w jakimś kraju. Przed przystąpieniem do właściwych prac zechcielibyśmy się zapewne nieco zastanowić nad tem, *poco* wogóle mają istnieć ubezpieczenia społeczne. Gdybym zabrał głos na posiedzeniu tej fikcyjnej komisji, to prawdopodobnie reprezentowałbym pogląd, że

1) każdy system ubezpieczeń społecznych posiada cele wielorakie (a *nie* jeden jakiś cel!),

2) systemy ubezpieczeń społecznych poszczególnych krajów mogą posiadać różne cele (t. j. że cele mogą się zmieniać w zależności od rozpatrywanych krajów, czy państw).

Ponadto starałbym się przekonać moich szanownych kolegów komisyjnych, że w ogólności mogą wchodzić w grę cele niżej wymienione:

(1) Zaspokojenie, chociażby tylko częściowe, w stopniu minimalnym pewnych potrzeb społecznych, powstających naskutek realizacji pewnych zjawisk losowych, lub w przybliżeniu losowych[1]).

(2) Zorganizowanie przymusowej kapitalizacji pieniężnej[2]).

(3) Powiązanie interesów materjalnych społecznej warstwy ubezpieczonych z losami państwa[3]).

(4) Prowadzenie konsekwentnej polityki populacyjnej[4]).

Po ustaleniu celów „Wysoka Fikcyjna Komisja" (już mam ochotę na stosowanie skrótu „W. F. K.") mogłaby dopiero przystąpić do właściwego zadania budowy (czy przebudowy) systemu ubezpieczeń społecznych. Zadanie to zaproponowałbym zapewne rozbić na układ zadań następujący:

(I) Zbudować system obciążeń społeczno - ubezpieczeniowych (t. j. pokrycia wydatków społeczno - ubezpieczeniowych), a mianowicie

a) ustalić zakres osób ubezpieczających t. j. ponoszących ciężary na rzecz ubezpieczeń społecznych (np. pracownicy najemni, pracodawcy, lub ogół obywateli bezpośrednio obciążony przez opłaty celowe, czy też via skarb państwa),

b) ustalić maksymum praktycznie osiągalnego obciążenia na rzecz ubezpieczeń społecznych,

c) wytyczyć rozwój stopy omawianego obciążenia w czasie (t. j. jego wysokości względnej na jednostkę zarobku, czy dochodu lub na głowę pracownika, lub — ogólniej — obywatela).

(II) Zbudować system świadczeń społeczno - ubezpieczeniowych, a mianowicie:

a) ustalić rodzaje ryzyka objęte przez ubezpieczenia, należące do budowanego systemu (np. bezrobocie, choroba, wypadki przy pracy, śmierć z pozostawieniem rodziny, inwalidność, starość, poród ew. ogólniej macierzyństwo i t. d.),

b) ustalić zakres osób ubezpieczonych (np. pracownicy tylko pewnych zawodów, lub wszyscy pracownicy najemni, lub ogół obywateli[5]) i t. d.),

c) ustalić rodzaje i wymiar świadczeń, udzielanych w razie realizacji objętego ubezpieczeniem ryzyka (świadczenia pieniężne, czy rzeczowe, jednorazowe czyli t. zw. „odprawy", lub perjodyczne, czyli t. zw. „renty",

---

[0]) Tematy tu poruszone dyskutowałem z p. Stanisławem Balcerskim i p. Zbigniewem Łomnickim. Rozmowy te wywarły pewien wpływ na całokształt artykułu.

[1]) Jeżeliby przyjąć cel (1), to późniejsze (niewątpliwe zresztą!) t. zw. „niezadowolenie" ubezpieczonych ze świadczeń nie stanowiłoby jeszcze dostatecznej podstawy do twierdzenia, że cel (1) nie jest realizowany: któż bowiem będzie zadowolony z tego, że jego potrzeby są tylko złagodzone, lub najwyżej w minimalnym stopniu zaspokojone, chyba tylko taki „typ", który potrafi się cieszyć z tego, że płaci (on sam, a nie jego bliźni!) bardzo wysokie podatki. Wysuwanie celu ubezpieczeń społecznych dalej idącego ma zaś charakter raczej utopijny.

[2]) Interesujące jest zagadnienie, jakby bez ubezpieczeń społecznych wyglądała, w niejednem państwie, państwowa polityka kredytów długoterminowych?

[3]) Cel wysunięty przez twórcę niemieckiego systemu ubezpieczeń społecznych Bismarcka.

[4]) Autor ośmiela się mniemać, że jedyną racjonalną metodą polityki ludnościowej i humanitarnej eugeniki w wielkim stylu byłoby utworzenie narodowego (t. j. obejmującego ogół obywateli) ubezpieczenia macierzyństwa o świadczeniach długoterminowych. Należy jeszcze zaznaczyć, że faszystowska Italja przywiązuje dużą wagę do ubezpieczenia macierzyństwa jako środka polityki populacyjnej.

[5]) Np. ubezpieczenie emerytalne w Szwecji jest obowiązkowe dla wszystkich obywateli.

dalej czy świadczenia mają być wyłącznie własnościowe, czy też i kredytowe?[6]).

(III) Zbudować system lokowania (nadwyżek, lub zaciągania kredytów (na pokrycie przejściowych niedoborów[7]). W wypadku przewidywanych nadwyżek budżetowych należy przytem:

a) ustalić zasady lokowania nadwyżek zgodnie z wymaganiami natury ubezpieczeniowej (lokaty pieniężne, czy rzeczowe, zasady dotyczące: zabezpieczenia, minimalnego dopuszczalnego oprocentowania i umarzania lokat),

b) uzgodnić powyższe zasady z wytycznemi ogólnej polityki kredytowej i ogólnej polityki kapitalizacyjnej państwa.

(IV) Zbudować system organizacyjny, a mianowicie:

a) przyjąć zasady dokumentacji i ewidencji obciążeń, świadczeń i lokat (ew. kredytów zaciągniętych),

b) ustalić zasady organizacji finansowej (podział systemu ubezpieczenia społecznego na odrębne finansowo ubezpieczenia[8]), ew. nawet odrębność, czy autonomja finansowa poszczególnych działów danego ubezpieczenia),

c) ustalić zasady zarządzania,

d) ustalić zasady kontroli (ze szczególnem uwzględnieniem metod kontrolowania sytuacji finansowej[9]).

Decyduję się teraz na zarozumiałe założenie, że zaproponowany przezemnie układ zadań do wykonania został przez „Wysoką Fikcyjną Komisję" przyjęty bez zmian. Przypuszczam, że na to, aby zadania to racjonalnie wykonać, należy na plenum (a może lepiej na podkomisjach z zaproszonymi rzeczoznawcami!) sformułować i rozstrzygnąć pewne wysoce zawiłe zagadnienia. Jedynie tytułem *przykładu* postaram się kilka z tych zagadnień sformułować. Przy każdem z tych zagadnień podam kilka uwag lub też motywów, przemawiających za takiem lub innem rozwiązaniem. Z przytoczenia w dalszym ciągu niniejszego artykułu pewnych motywów nie wynika, abym w chwili obecnej decydował się na rozwiązanie zagadnień. Chodzi mi raczej o wywołanie dyskusji lub zilustrowanie zawiłości i rozległości wchodzących w grę problemów.

Zwróćmy przedewszystkiem uwagę na *zagadnienie monetarne*, rozwiązanie tego zagadnienia niezbędne jest przy wykonywaniu aż trzech zadań „W. F. K." (są to zadania: I, II, III). Składki społeczno - ubezpieczeniowe są wymierzane i pobierane w jednostkach monetarnych, podobnie pieniężne świadczenia społeczno - ubezpieczeniowe są przyznawane i wypłacane w tychże jednostkach, wreszcie dowody lokat pieniężnych opiewają również na te same jednostki.

Współczesny system ubezpieczeń społecznych stanowi z reguły operację finansową nawet nie długoterminową, ale *wieczystą*. To też stosunek ubezpieczeń społecznych do kwestyj monetarnych powinien być inny niż np. stosunek przeciętnego ciułacza. Ciułacz, któryby nie chciał obecnie w Polsce wpłacać wkładów na książeczkę P. K. O. w obawie przed katastrofą inflacyjna byłby człowiekiem śmiesznym, gorzej — niemądrym, ponadto „złym" obywatelem. Natomiast kierownik instytucji społeczno - ubezpieczeniowej, któryby w polityce lokacyjnej uwzględniał nawet bardzo odległe i nikłe ryzyko[10]) katastrofy inflacyjnej byłby raczej człowiekiem rozsądnym i dobrym obywatelem. (Pogląd, że żaden system ubezpieczeń społecznych nie mógłby przetrwać gwałtownej inflacji, nie wydaje się słuszny). Przypuśćmy teraz, że „W. F. K." przyjęła jako jeden z celów systemu ubezpieczeń społecznych cel (1), t. j. „minimalne zaspokojenie lub nawet tylko złagodzenie pewnych potrzeb...", przypuśćmy dalej, że państwo dla którego „W. F. K." pracuje trzyma się konsek-

---

[6]) Przy udzielaniu pieniężnego świadczenia własnościowego, zarówno tytuł własności, jak i dysponowalność danej kwoty przechodzą z ubezpieczyciela (t. j. zakładu ubezpieczeniowego) na uposażonego (t. j. otrzymującego świadczenie), natomiast o ile chodzi o świadczenie kredytowe, to w tym wypadku jedynie dysponowalność przechodzi z ubezpieczyciela na uposażonego, tytuł własności pozostaje w tym wypadku przy ubezpieczycielu. Np. w indywidualnem (t. zw. „prywatnem") ubezpieczeniu na życie wypłata kapitału ubezpieczeniowego jest świadczeniem własnościowem, zaś wypłata pożyczki, obciążającej polisę,—świadczeniem kredytowem. W zakresie ubezpieczeń społecznych umiałbym zresztą conajwyżej dać konkretne przykłady dobrowolnych (a nie obowiązkowych) świadczeń kredytowych.

[7]) Klasyczny zresztą typ ubezpieczeń społecznych to system z rezerwami dodatniemi.

[8]) Należy odróżniać pojęcie odrębności finansowej, od (mniej w ubezpieczeniach doniosłego) pojęcia odrębności administracyjnej. Np. od dnia 1-go stycznia 1928 r., do dnia 1-go stycznia 1934 r. mieliśmy w Polsce aż cztery (odrębne administracyjnie) terytorjalne Zakłady Ubezpieczeń Pracowników Umysłowych, ale tylko dwa (ogólno - państwowe) fundusze: a) ubezpieczenia emerytalnego pracowników umysłowych, b) ubezpieczenia bezrobocia pracowników umysłowych. Od dnia 1-go stycznia 1934 r. do dnia 1-go stycznia 1935 r. mieliśmy tylko jeden Zakład Ubezpieczeń Pracowników Umysłowych, zatem w tym okresie znikła odrębność administracyjna wewnątrz obu ubezpieczeń pracowników umysłowych, ale pozostała odrębność administracyjna (zresztą tylko częściowo) w stosunku do innych gałęzi ubezpieczeń społecznych. Od dnia 1-go stycznia b. r. i ta odrębność administracyjna znikła, gdyż stworzono jeden tylko Zakład Ubezpieczeń Społecznych. Przez cały natomiast okres od 1-go stycznia 1928 r. do chwili obecnej odrębność finansowa wskazanych wyżej funduszów nie uległa zmianie.

[9]) Kontrola sytuacji finansowej ubezpieczeń społecznych wymaga solidnej znajomości matematyki finansowej i ubezpieczeniowej.

[10]) „Ryzyko" to jeszcze nie „pewność" (uwaga dla osób lubiących zbyt złośliwie „wnioskować"!).

wentnie zasady waluty złotej. Wymiar świadczeń pieniężnych, ustalony przez „W. F. K." będzie przystosowany (o ile komisja ta jest nastawiona tradycjonalistycznie) do kosztu minimalnego zaspokojenia potrzeb w początkowym okresie. Niech wskaźnik cen wynosi w tym początkowym okresie 100. W kilka lub najwyżej kilkanaście lat po wprowadzeniu w życie systemu, opracowanego przez „W. F. K." mogłaby zajść np. jedna z następujących ewentualności:

a) wskaźnik cen będzie wynosił 200, w konsekwencji świadczenia pieniężne będą *zbyt niskie*, aby odegrać należytą rolę,

b) wskaźnik cen będzie wynosił 50, wartość realna zarówno obciążeń, jak i świadczeń wzrośnie w stosunku do okresu początkowego, rozpoczną się krzyki na temat „przerostów" i „nieznośnego ciężaru ubezpieczeń społecznych" i t. d.

To też autor zadaje sobie pytanie, czy przypadkiem nie byłoby celowe, aby „Wysoka Fikcyjna Komisja" skonstruowała system świadczeń pieniężnych, wymierzanych w jednostkach każdoczesnej siły nabywczej? Pozatem powstaje pytanie, czy właśnie taki system świadczeń nie byłby konsekwentnie dopasowany do regime'u waluty złotej (którego to regime'u autor nie zamierza ani atakować, ani krytykować).

Kilka słów trzeba też poświęcić *zagadnieniom*, dotyczącym *obciążeń* na rzecz ubezpieczeń społecznych. W Polsce np. mamy do czynienia z ubezpieczeniami społecznemi, obejmującemi niemal wyłącznie pracowników najemnych. Obciążenie ubezpieczającego — pracodawcy jest proporcjonalne do sumy wypłacanych przez niego zarobków. Możliwe są jednak inne systemy: obciążenie pracodawcy może być proporcjonalne do liczby zatrudnionych[11]), teoretycznie mogłoby być wymierzane proporcjonalnie do dochodu, czy obrotu przedsiębiorcy i t. d.[12]). Przypuszczam, że „W. F. K." nie powinna żałować czasu na zbadanie, który z systemów wymierzania obciążeń byłby dla danego gospodarstwa narodowego optymalny?

Przy budowie systemu świadczeń powstaje przedewszystkiem *zagadnienie, czy potrzebne są świadczenia rzeczowe* w obrębie ubezpieczeń społecznych. Tradycyjny argument „nie można dać ubezpieczonemu kwoty *x* zł. zamiast leczenia, bo ubezpieczony przeje lub przepije prawdopodobnie tę kwotę zamiast iść do lekarza i kupić lekarstwa" ma, być może, tylko wartość historyczną. Przecież nie trzeba wypłacać ubezpieczonemu (zamiast świadczenia rzeczowego) świadczenia pieniężnego w pieniądzu o (że tak powiem) ogólnej sile nabywczej: można bowiem w tych wypadkach stosować jakgdyby „pieniądz o skierowanej sile nabywczej" np. bony, uprawniające do świadczeń rzeczowych ze strony instytucyj *nieubezpieczeniowych* (a przytem niemonopolistycznych). W ten sposób możnaby odciążyć instytucje ubezpieczeń społecznych od niesłychanie ciężkiej odpowiedzialności za jakość (bardzo subjektywnie przez ubezpieczonych ocenianą) świadczeń rzeczowych. Nasuwa się tu pewna analogja: gdyby instytucja tak bardzo szanowana, jak Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych, zamiast udzielać świadczeń pieniężnych (odszkodowania pogorzelowe) dawała świadczenia rzeczowe (t. j. odbudowywała we własnym zakresie spalone budynki), czy wtedy stosunek opinji publicznej do tego zasłużonego zakładu nie pogorszyłby się wyraźnie?

Zupełnie wyjątkowe znaczenie dla prac „W. F. K." posiadałoby prawdopodobnie *zagadnienie kapitalizacyjne*. Przypuśćmy, że projektujemy system świadczeń emerytalnych. Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że o konstrukcji tych świadczeń powinny decydować wyłącznie potrzeby społeczne (sytuacja wdowy, sieroty, inwalidy, starca). Nikt rozsądny nie będzie, oczywiście, kwestjonował, że potrzeby te muszą być uwzględniane przy konstruowaniu systemu świadczeń, jednakże czy wyłącznie one? Przypuśćmy dalej, że przyjęto jednocześnie zasadę stałej (w czasie) stopy obciążenia na rzecz ubezpieczenia emerytalnego. Okazuje się, że jeżeli zbudujemy wówczas system rent silnie rosnących (wzrost renty za t. zw. „wysługę lat"), to rezerwy ubezpieczenia emerytalnego będą rosły przez lat kilkadziesiąt i dojdą do (ustabilizowanego w przybliżeniu) poziomu paru miljardów złotych (przy liczbie ubezpieczonych 1 do 1½ miljona). Jeżeli natomiast zastosujemy jednorazowe odprawy emerytalne i to bez wzrostu za wysługę lat, to nie powstaną niemal żadne rezerwy. Zwolennik przymusowej i skoncentrowanej kapitalizacji powinien chyba wypowiedzieć się za systemem rosnących rent? Zwolennik dobrowolnej kapitalizacji zdekoncentrowanej — za systemem stałych odpraw.

Jeżeli „W. F. K." przyjęła ostatecznie:

1) stystem *rent* emerytalnych,
2) stałą *stopę* składki emerytalnej,
3) wymierzanie rent i składek w jednostkach siły nabywczej,

to wówczas powstałoby b. doniosłe (ze względu na rozmiar rezerw) *zagadnienie lokacyjne*. Osobiście wypowiedziałbym się, prawdopodobnie, w tym wypadku wyłącznie za lokatami rzeczowemi. Ponieważ jednak lokata w nieruchomościach mieszkalnych może być z punktu widzenia ogólno - gospodarczego (a nie ubezpieczeniowego) niezbyt pożądana, zaproponowałbym „Wysokiej Fikcyjnej Komisji" rozważenie sprawy lokowania nadwyżek ubezpieczeń społecznych w... akcjach (już niemal słyszę, jak członkowie „W. F. K." wołają „skandal!", oburzając się na ten dobrze znany aktuarjuszom angielskim punkt widzenia). Oczywiście, możnaby mówić tylko o specjalnie uprzywilejowanych akcjach i to zapewne wyłącznie jakiegoś specjalnie w tym celu stworzonego holdingu.

Przechodząc do *zagadnień organizacyjnych* chciałbym zaznaczyć, że doniosłe znaczenie przypisałbym chętnie rozważaniom na temat, co ważniejsze: dobry schemat organizacyjny, czy maksymalnie niezmienny schemat? .

---

[11]) Np. w społecznem ubezpieczeniu zdrowia w Anglji.

[12]) W Niemczech wysuwano niedawno projekt wymierzania składek społeczno - ubezpieczeniowych proporcjonalnie do mocy motorów przedsiębiorstwa.

UWAGI

REASEKURACJA

Polityka reasekuracyjna działających w Polsce zakładów ubezpieczeń była wielokrotnie poddawana krytyce na łamach prasy; z jednej strony podkreślano zależność naszych zakładów od zagranicy i płynące stąd ujemne konsekwencje dla całokształtu spraw ubezpieczeniowych oraz gospodarki społecznej wogóle, z drugiej zaś strony twierdzono, że dotychczasowa polityka zakładów ubezpieczeń jest właściwa i nie wymaga zmian. Tego drugiego poglądu nie podzielają jednak m. i. publiczne zakłady ubezpieczeń, w szczególności Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych, który na łamach swego organu sprawie tej poświęca bardzo wiele miejsca, przemawiając wyraźnie za rozbudową rodzimej reasekuracji.

Stanowisko publicznych zakładów tłomaczyć można tem, że do nich z natury rzeczy należy funkcja wcielania w życie przewodnich myśli i tendencyj państwa w dziedzinie całokształtu spraw ubezpieczeniowych, przez co zakłady te stają się regulatorem stosunków na rynku ubezpieczeniowym; do stosunków tych zalicza się także zagadnienie reasekuracji, albowiem jest ona ważnym czynnikiem wytwarzania i wzmacniania gwarancji ubezpieczeniowej.

Zakres korzystania z reasekuracji powinien być w swem założeniu ściśle związany ze stosowaną zasadą kalkulacji składek. Jeżeli kalkulacja ta opiera się na odpowiednio dobrze opracowanych podstawach statystycznych, z zastosowaniem dostatecznie dużych „współczynników bezpieczeństwa", natenczas zakres korzystania z reasekuracji może i powinien być mniejszy, i odwrotnie — jeżeli przy kalkulacji składek zakład nie może się posługiwać dostatecznie dobrze opracowanym materjałem statystycznym, czy też — z tych lub innych względów — istnieją przeszkody do zastosowania dostatecznie dużych „współczynników bezpieczeństwa", natenczas zakres stosowania reasekuracji musi być odpowiednio większy.

Dla publicznych zakładów, nie powinna być obojętna polityka reasekuracyjna również i innych zakładów, gdyż ewentualnie niewłaściwy kierunek tej polityki narazić może na szwank interes publiczny, na straży którego — w całej dziedzinie ubezpieczeń — postawione są wszak publiczne zakłady ubezpieczeń.

Rozpatrując zagadnienie reasekuracji, należy pamiętać, że koszt ochrony reasekuracyjnej zakładów ubezpieczeń ponosi całkowicie klijentela ubezpieczeniowa, która swemi opłatami składa się na *wszystkie* wydatki zakładu ubezpieczeń, w tem również i ochronę reasekuracyjną. Korzystanie ze zbyt dużej ochrony reasekuracyjnej powoduje, uzależnienie zakładu ubezpieczeń od swych reasekuratorów (jeżeli taka zależność nie istnieje już z innego tytułu) oraz podraża cenę ubezpieczenia, gdyż jest rzeczą jasną, że w ogólnym rachunku reasekuracja musi być dla dającego tę ochronę, t. j. dla reasekuratora, operacją rentowną, a ciężar ten płaci wszak nie kto inny, jak ubezpieczająca się klijentela. Jeżeli wskutek błędnej kalkulacji składek sprzedaż ochrony reasekuracyjnej jest dla reasekuratora połączona w dłuższym czasie ze stratą, to można być pewnym, że — wcześniej, czy później — znajdzie on środki i drogi, by rezultaty te zmienić na swoją korzyść i odebrać z nawiązką poniesione uprzednio straty.

Nie może być również obojętne dla gospodarki społecznej, *gdzie* działające w Polsce zakłady szukają dla siebie ochrony reasekuracyjnej. Jeżeli ochrona ta jest nabywana u reasekuratorów zagranicznych, których z polską gospodarką społeczną nie wiąże nic więcej, jak stosunki reasekuracyjne, natenczas posunięcia takich reasekuratorów mogą dla polskiego życia gospodarczego okazać się nierzadko szkodliwe, zwłaszcza, że nasze warunki ekonomiczne nie są im wszechstronnie znane, a polska gospodarcza racja stanu przeważnie obojętna. Nierzadko czyta się w sprawozdaniach poszczególnych towarzystw ubezpieczeń lub sprawozdaniach zrzeszeń zakładów ubezpieczeń, że uzdrowienia pewnej gałęzi ubezpieczeń, lub nawet całokształtu spraw ubezpieczeniowych, można się spodziewać jedynie przy pomocy reasekuratorów (rozumie się: zagranicznych), którzyby wpłynęli na dane zakłady ubezpieczeń we właściwy sposób (swym autorytetem, czy też odmową ochrony reasekuracyjnej?). Zdaniem naszem, apel taki jest przeważnie bezskuteczny, gdyż cele poszczególnych reasekuratorów zagranicznych są zazwyczaj rozbieżne i nie znaidą oni „wspólnego języka", by jakieś niezbędne reformy przeporwadzić we właściwym czasie; odświadczenie wykazuje, że porozumienie różnych grup reasekuratorów następuje dopiero wówczas, gdy stosunki w pewnym kraju doszły do stanu niezmiernie krytycznego, ale wtedy żąda się reform bardzo radykalnych i dotkliwych, mających na widoku przedewszystkiem zyski materjalne reasekuratorów, z wyraźną szkodą — nieraz bardzo silnie odczuwaną — zakładów ubezpieczeń i ubezpieczającej się klijenteli oraz całego gospodarstwa krajowego. Dla zainteresowanych zakładów krajowych i chyba także dla godności narodowej, nie może być przytem obojętne nieuniknione upokorzenie, jakie z konieczności wyniknąć musi z podobnej ingerencji czynników zagranicznych. Dlatego też publiczne zakłady ubezpieczeń, wolne z natury rzeczy od wpływów jakichkolwiek koncernów zagranicznych, mają — z tytułu swej roli strażników interesu i dobra publicznego, — prawo i obowiązek interesowania się ogólnemi wytycznemi polityki reasekuracyjnej, a to przedewszystkiem zakresem stosowania reasekuracji oraz źródłem, w którem działające u nas zakłady ubezpieczeń zaspakajają swe potrzeby reasekuracyjne.

Dlatego też na podkreślenie zasługuje artykuł — p. T. Poznańskiego, który ostatnio na łamach „Gazety Polskiej" (Nr. 335 z dnia 3 grudnia 1934 r.), wysuwa konkretny projekt rozbudowy krajowej reasekuracji; w myśl tego projektu zmniejszyłby się znakomicie zasięg korzystania przez polskie za-

kłady ubezpieczeń z ochrony reasekuracyjnej zagranicą, z drugiej zaś strony wzmocniłyby się podstawy poszczególnych działających u nas zakładów ubezpieczeń, dzięki wzajemnej wymianie portfelów ubezpieczeniowych.

Autorstwo artykułu w „Gazecie Polskiej" wskazuje, że wysunięty obecnie (a właściwie wznowiony) projekt wychodzi z kół zakładów publicznych.

Spodziewać się należy, iż zakłady prywatne — zainteresowane wszak w należytem rozwiązaniu tego zagadnienia — podejmą wysuniętą inicjatywę i poddadzą ją jak najprędzej szczegółowemu zbadaniu.

Na polu reasekuracji zakłady publiczne mogą — zdaje się — zgodnie współpracować z zakładami pyrwatnemi (krajowemi i zagranicznemi, dopuszczonemi u nas do działalności) dla wspólnego pożytku. Jest przytem bardzo możliwe, że współpraca na tem polu zmniejszy tarcia i w innych dziedzinach, zwłaszcza, jeżeli propagowana przez autora myśl wzajemnej wymiany ryzyka pomiędzy wszystkiemi zakładami drogą wymiany określonych części portfeli znajdzie właściwy oddźwięk w polskim świecie ubezpieczeniowym, przez co „głód premjowy", ten najgorszy doradca w walce konkurencyjnej, zostałby w znacznej mierze zaspokojony.

h. n.

POLEMIKA NIEZAMKNIETA

W jubileuszowym numerze „Polski Gospodarczej" zamieścił dyr. Adam Rose zasadniczy artykuł p. t. „Doświadczenia przeszłości a program rolny". Cztery tezy, wysunięte tam jako „punkt wyjścia" polskiego programu rolnego, zostały poddane krytyce przez p. F. Z., czołowego publicystę gospodarczego „Ilustrowanego Kurjera Codziennego" w n-rze 361 tego pisma z 1934 r., na co znowu autor replikował w n-rze 5 „Gazety Polskiej" z r. b. Zagadnienie nie wydaje się wyczerpane, a popełnienie przed rokiem próby analogicznych poszukiwań[1]) ośmiela mnie do wzięcia udziału w dyskusji.

Rozpatrzmy tezy dyr. Rosego.

Najogólniejsza teza 4-a mówi o konieczności powiększenia dochodu społecznego. Ten truizm doskonale się nadaje właśnie jako punkt wyjścia rozważań programowych. Można go jedynie uzupełnić innym truizmem: że cele pozagospodarcze niekiedy zmuszają do odstępstw od prostego dążenia do maksymalnego dochodu społecznego.

Niesporna jest także ogólna część tezy 2-ej, nakazującej najlepsze wyzyskanie szczupłych kapitałów, tkwiących w rolnictwie. W rozwinięciu tej myśli nie wydaje mi się przekonywująco uzasadniona rzekoma wyższość parcelacji sąsiedzkiej nad osadniczą, ale to zagadnienie, jako szczegółowe, eliminuję poza nawias niniejszej dyskusji, dotyczącej „punktu wyjścia".

Pierwsza teza maluje w syntetycznym skrócie groźne skutki przeludnienia wsi, żądając włączenia do programu rolnego stworzenia warunków rozwoju przemysłu, któryby mógł wchłonąć nadmiar ludności wiejskiej. Identyczną tezę uzasadniałem niegdyś na łamach „Gospodarki"[2]), później poruszano ją parokrotnie, ostatnio znalazła wyraz w głębokiem ujęciu p. St. Gryziewicza[3]). Skoro jeszcze po wyrazistem uwypukleniu tego postulatu przez dyr. Rosego napotykamy zasadniczy sprzeciw tak wytrawnego ekonomisty, jak p. F. Z., mamy w tem dowód, że teza o niezbędności uprzemysłowienia kraju dla uleczenia rolnictwa nie jest jeszcze truizmem. Dalszą jej obronę podejmuję poniżej. Jak stąd wynika, tezy 4-tą, 1-ą i 2-ą, w ich zasadniczej treści, uważam za dostatecznie określony i zasługujący na uznanie punkt wyjścia dla szukania wytycznych programu rolniczego.

Tezę 3-ą streszczam dosłownie za autorem: „Rolnictwu trzeba zapewnić jaknajwiększe możliwości zbytu tak nazewnątrz kraju, jak na rynku wewnętrznym, chroniąc je na tym ostatnim przed konkurencją zagraniczną, a zwłaszcza egzotyczną i zapewniając mu w traktatach handlowych możliwie korzystne warunki eksportowe". To sformułowanie jest o tyle kłopotliwe, że zawiera postulaty pomiędzy sobą sprzeczne. Jeśli dodamy, że w rozwinięciu swej tezy 1-ej autor żąda ochrony celnej przemysłu, to przy równoczesnem realizowaniu ochrony rolnictwa musimy mieć to, co właśnie mamy w rzeczywistości, t. j. zbyt szczupłe możliwości zbytu rolniczego nazewnątrz kraju i niekorzystne dla eksportu traktaty handlowe, mimo godnych najwyższego uznania wysiłków naszych negocjatorów. Niewielu ludzi w Polsce ma okazję zrozumieć to tak dokładnie, jak autor „punktu wyjścia" i dlatego postulat eksportowy brzmi w tezie 3-ej zupełnie platonicznie, gdy jej osią jest domaganie się ochrony rynku wewnętrznego. Skoro tak jest, słusznie p. F. Z. przypomina o „wzajemnem znoszeniu się ochrony przemysłu i rolnictwa działającem tak, jak się znosi znak plus ze znakiem ujemnym", co przecież wynika z elementarnej teorji działania ceł i dlatego czytelnik jest zaskoczony zakwalifikowaniem przez dyr. Rosego przytoczonego zdania, jako „niezmiernie ryzykownej formułki". Jeżeli, zdaniem autora, stara teorja nie odpowiada dzisiejszej rzeczywistości, należało uzasadnić potrzebę jej rewizji. Pytanie, czy w naszych warunkach można znieść ochronę celną bądź przemysłu bądź rolnictwa, nie zastąpi tego uzasadnienia. Trudność przekreślenia w każdej chwili poważnych faktów dokonanych nie usprawiedliwia ich dokonania. Wysunięcie zaś postulatu ochrony celnej, jako składowej „punktu wyjścia" programu rolniczego uprawnia do mniemania, że nie chodzi tu ani o taktyczne walory polityki protekcyjnej, ani o poszczególne wypadki, mające wymagać opieki, ale o zasadniczą treść ekonomiczną. Za taką treść ochrony celnej przywykliśmy uważać przesunięcie w podziale dochodu społecznego, na korzyść grupy chronionej. Integralna ochrona tej właśnie zwykłej treści nie posiada, może służyć jedynie, jak to słusznie p. F. Z. zaznacza, do izo-

[1]) Artykuł p. t. „polityka produkcji rolniczej" w „Spółdzielczym Przeglądzie Naukowym" z grudnia 1935 r.

[2]) „Polska rolnicza czy przemysłowa?" — „Gospodarka Narodowa" nr. 8 z 1931 r.

[3]) Zagadnienie polityki rolniczej" — „Gospodarka Narodowa" nr. 23 z 1934 r.

lacji gospodarczej kraju. Można wprawdzie zauważyć, że ochrona nigdy nie jest i być nie może tak wszechstronna, by każdemu dawała tyle samo, t. zn. nic. Dzisiejsza np. integralna protekcja pozwala grupom, zdolnym do organizowania podaży na rynku wewnętrznym, na pokaźne przewłaszczanie dochodów grup do tego niezdolnych, m. in. rolników. Wątpić jednak należy, czy to stanowić może cel polityki rolniczej.

W ścisłym związku z tezą 3-cią stoi praktyczne rozwinięcie tezy 1-ej, którem ma być ochrona celna przemysłu. Pozornie słusznie, zwykle bowiem daje się ochronę tym gałęziom, które się chce rozwinąć. Przestaje to być słuszne, gdy przy integralnej ochronie korzystają jedynie przemysły skartelizowane, gdzie zwiększenie udziału w dochodzie społecznym idzie na utrzymywanie przy życiu zbędnego i nieprodukującego aparatu, a w najmniejszej mierze na rozwój produkcji. Natomiast podrożenie surowców wpływa oczywiście hamująco na rozwój przemysłu przetwórczego, nadto zniekształcenie podziału dochodu społecznego stanowi jedną z istotnych, jeśli nie naczelną, przyczynę zjawisk kryzysowych. Podstawowym warunkiem silnego rozwoju przemysłu w Polsce jest obniżenie ochrony celnej.

Zgadzając się w zupełności z tą częścią wywodów p. F. Z., która przeciwstawia się postulatom protekcyjnym, jak również z tem, że jedynym sposobem powiększenia dochodu społecznego jest jego wyprodukowanie, trudno nie być zaskoczonym stanowiskiem autora wobec zagadnienia przeludnienia wsi. P. F. Z. przyjmuje obliczenie dra St. Antoniewskiego („Rolnictwo" zesz. 1 t. IV z 1934 r.), według którego gdyby poziom ogółu drobnych gospodarstw był równy poziomowi gospodarstw, prowadzących rachunkowość dla Instytutu Puławskiego, to zapotrzebowanie pracy w tych gospodarstwach (zwłaszcza najdrobniejszych) byłoby prawie równe podaży pracy ludności zawodowo czynnej w tych gospodarstwach. Stąd wniosek p. F. Z.: „Podnieść technikę i poziom gospodarowania—to usunąć przeludnienie". Poglądem tym tem bardziej warto się zająć, że nie wydaje się on odosobniony wśród ekonomistów — nie znających wsi.

Pierwszem zastrzeżeniem, które się nieodparcie nasuwa, jest oczywistość trudności zbytu ewentualnie zwiększonej produkcji. To zastrzeżenie znakomicie rozwija i uzasadnia drugi artykuł dyr. Rosego. Jest to argument zupełnie wystarczający, chociaż nie jedyny. P. F. Z. przewiduje zarzut dążenia do wywołania nadprodukcji i zgóry uznaje go za fałszywy. „Ratunkiem dla rolnictwa jest dalsza jego rozbudowa, dalsze podnoszenie jego kultury, dalsza intensyfikacja, dalsze inwestycje. Im rolnictwo więcej wytworzy, tem większy będzie dochód społeczny Polski i tem większa będzie siła kupna społeczeństwa. Taksamo postępować muszą, oczywiście i inne zawody i inne działy produkcji. Wszystkie one muszą być nastawione na rozbudowę, na rozszerzenie produkcji — a nie na kurczenie się i zamykanie". Wynikałoby stąd, że autor nie uznaje automatyzmu gospodarczego cyklicznie regulującego produkcję, co u ekonomisty szkoły krakowskiej jest naprawdę rzadkie. Dotąd słyszeliśmy z tamtej strony, że dochód społeczny netto będzie największy, gdy każdy będzie inwestować tam, gdzie spodziewa się najwyższej rentowności i wtedy, gdy się jej spodziewa. Powtóre, chcielibyśmy wiedzieć, jaką dźwignią autor spodziewa się poruszyć wszystkie produkcje nierolnicze, na wypadek, gdyby użyta przez niego formuła „muszą" — nie okazała się magiczną, ani skuteczną. Jeżeli obawa nadprodukcji przy znacznem powiększeniu wydajności rolnictwa (co, jak wiadomo, podnosi koszty na jednostkę produktu) jest fałszywa, jakże się dzieje, że rynek nie może wchłonąć już dzisiejszej produkcji? Chyba ceny produktów rolnych nie mogą dziś być uważane za hamulec owego rozwoju ogólnej produkcyjności, która ma dać wzrost siły nabywczej rynku.

Druga uwaga: aby inwestować, trzeba mieć co inwestować. Rolnictwo dziś się kurczy i powoli cofa nietylko dlatego, że nakłady się nie opłacają, ale, że nie ma za co ich robić. Zastępuje się kapitał pracą w wysokim stopniu, ale jeśli po zużyciu maszyny, nie mając za co kupić nowej, rolnik będzie musiał pracować ręcznie, wydajność jego pracy znakomicie spadnie. Recepta więc intensyfikacji nietylko byłaby dla dzisiejszej chwili nierealna ze względu na brak zbytu, ale i na niemożność dokonania jej.

Trzecie zagadnienie, to samo zagadnienie przeludnienia. Z obliczeń Instytutu Puławskiego wynika rzeczywiście, że w najdrobniejszych gospodarstwach liczba zużywanych dniówek jest tak wielka, że w razie rozdrobnienia całej powierzchni użytków rolnych na bardzo drobne działki nie byłoby wcale bezrobocia na wsi. Czy to oznacza, że nie byłoby przeludnienia? Bynajmniej. Bo wszyscy pracowaliby, ale na tych karłowatych gospodarstwach pracowaliby nieekonomicznie. Liczba zużytych dniówek jest tam dlatego właśnie tak wielka, że jest nadmiar nieużytecznej pracy. Przy gęstości zaludnienia rolniczego w stosunku do powierzchni użytków rolnych, o połowę mniejszej od przeciętnej w Polsce, moglibyśmy bez trudności podwoić, a może i potroić produkcję rolną, gdyby na to pozwalały względy ekonomiczne. Być może, jałowe zatrudnienie może czasem być korzystne społecznie, może lepiej działać wychowawczo, niż bezczynność, ale nie może usunąć, ani nędzy, ani trudności kapitalizacji, wywoływanych przez przeludnienie. Co więcej, właśnie przeludnienie utrudnia to podniesienie produkcji rolnej, o którem p. F. Z., tak pięknie marzy, ale do którego nie wskazuje środków. Jeśli połowa, a najwyżej $^{2}/_{3}$ obecnej ludności wystarczyłaby na tak intensywne zagospodarowanie ziemi, jakie jest możliwe w danych warunkach zbytu, jeśli nadto dopiero po odciążeniu od milionów osób zbędnych dla produkcji możnaby znaleźć środki na intensyfikację, to naprawdę recepta pozostawiania tych milionów (wciąż przyrastających, jak to sam p. F. Z. podkreśla) na roli nietylko nie prowadzi do zwiększenia produkcji ale powoduje jej zastój.

Koniec artykułu p. F. Z. przynosi jeszcze jedną sensację: „Na zakończenie jeszcze jedna uwaga, niestety, w Polsce zawsze na czasie. Nie należy zamieniać ról. Niechaj obrońcy rolnictwa w swych

programach rolniczych nie propagują rozbudowy i ochrony przemysłu, a obrońcy przemysłu nie propagują rozbudowy i ochrony rolnictwa. Każdy niech robi swoje". Przypuszczam, że autor chciał tu potępić istotnie pospolitą u nas obłudę, z jaką pewni obrońcy interesów grupowych wstydliwie nie mówią głośno o własnych interesach, a raczej o wszystkiem innem. W przytoczonem jednak sformułowaniu wygląda tak, jakby można było i należało tworzyć programy polityki poszczególnych grup interesów w zupełnem oderwaniu od całości i od interesów innych grup. Byłoby to propagowanie krótkowzroczności, zresztą realnie zupełnie nie do przyjęcia. Pomijając już bardzo ważny argument, przytoczony przez dyr. Rosego, że nikomu nie można zabronić zainteresowania całością organizmu gospodarczego, jeżeli rolnik, czy „obrońca rolnictwa" widzi właśnie dla bronionej przez siebie grupy interes w rozwoju przemysłu, to z jakiej racji nie miałby tego powiedzieć?

Przytoczone zdanie przynosi rolnikom jedną pociechę: na tle artykułu, poświeconego rozbudowie rolnictwa wynika z niego niedwuznacznie akces autora do grupy obrońców rolnictwa. Inaczej nie mógłby propagować jego rozbudowy. Trzymamy p. F. Z. za słowo.

Józef Poniatowski.

„ZDROWE" WARSZTATY

W związku z ograniczeniem przeprowadzanej obecnie akcji oddłużeniowej do warsztatów nieobdłużonych nadmiernie, słyszy się zdanie, iż tak pojęta akcja zniszczy rzekomo właśnie najzdrowsze gospodarstwa rolne. Chodzi tu oczywiście tylko o t. zw. wielką własność.

Przed próbą definjowania zdrowego gospodarstwa rolnego należy zgóry przed analizą postawić pewne typy, zresztą skrajnie odmienne jeśli chodzi o charakter kierowników danych gospodarstw. Jeden — to warsztaty obciążone kredytem zużytym przez posiadacza na cele konsumcyjne, wobec braku dochodów w latach załamania się konjunktury. Charakterystyczną cechą dla tego rodzaju warsztatów jest wysoka stopa życiowa — ponad stan — właściciela. Drugi to gospodarstwa o stosunkowo niewielkiem zadłużeniu, a nawet wolne od zobowiązań kredytowych, gdzie stopa życiowa jest niska, a właściciela cechuje brak zdolności do jakiejkolwiek inicjatywy gospodarczej. Dla obydwu tych typów warsztatów rolnych właściwem jest niechlujstwo gospodarcze oraz niedołęstwo kierownictwa.

Pozostawiam na uboczu kwestję, jak znaczny odsetek tworzą naszkicowane wyżej typy w ogólnej liczbie naszych większych gospodarstw rolnych (zwłaszcza te pierwsze — żyjące ponad stan) — oraz jaki będzie ich udział procentowy w liczbie tych, które ulegną likwidacji. Żałować ich niema potrzeby — zapewne bezsprzecznie są one „niezdrowe". Rozważaniom należy poddać te gospodarstwa rolne, które charakteryzują się naogół tem, że kierownikami ich są dobrzy rolnicy, umiejący myśleć ekonomicznie, żyjący proporcjonalnie do dochodów i potrzeb gospodarczych swego warsztatu.

Stosując pewien, konieczny w takich wypadkach schemat, przyjąć możemy podział na trzy grupy gospodarstw, które rozmaicie reagować będą na zmiany konjunkturalne: 1) gospodarstwa rolne intensywne, o wybitnych przedwojennych inwestycjach (budynki, inwentarz martwy, meljoracje itp.), podjętych w warunkach b. korzystnych dla rolnictwa (Wielkopolska, Pomorze), 2) gospodarstwa rolne intensywne, których inwestycje pochodzą z okresu powojennego (dobrej konjunktury), 3) gospodarstwa rolne raczej ekstensywne (mierne inwestycje), pracujące staremi kapitałami zakładowemi. Pierwsze dwie grupy określić można jako przedsiębiorstwa, pracujące kapitalistycznie, przyczem jednak nie można przeoczyć faktu przejścia drugiej grupy do tego typu gospodarstw dopiero w latach dobrej konjunktury po wojnie, — trzecie natomiast zaawansowały się najmniej w kierunku gospodarki kapitalistycznej, co jednak nie może oznaczać, by kontakt ich z rynkiem był luźny.

Obciążenia kredytowe intensywnych gospodarstw o przedwojennych kapitałach zakładowych pochodzić mogą z następujących źródeł:*) a) z okresu jeszcze wysokich cen, gdy kredyty pobierane były na zwiększenie i tak już znacznych nakładów bieżących (nawozy sztuczne, pasze treściwe itp.) celem maksymalnego wykorzystania konjunktury, b) z pierwszych lat „kryzysowych", gdy kredyty były wykorzystywane w celu utrzymania bieżących nakładów na poziomie przedwojennym, by nie zmniejszać ogólnego poziomu intensywności warsztatu rolnego. (Nie od rzeczy będzie nadmienić, że właśnie posiadaczom takich gospodarstw, przyzwyczajonym do wielkich obrotów, było równie trudno obniżać stopę życia prywatnego, jak intensywność warsztatów).

Intensyfikacja gospodarstw drugiej grupy pochodzi niemal w całości z okresu wyjątkowo korzystnych cen rolniczych w latach 1927 — 1929. Gospodarstwa te w przeświadczeniu, że tego rodzaju stosunki utrzymają się przez dłuższy okres czasu, nie ograniczyły się w podejmowaniu inwestycyj tylko do wykorzystania dochodów bieżących, ale również przeznaczyły na ten cel kredyty, uzyskiwane bez trudności. Trzecia kategorja gospodarstw nie dążąc do nadmiernych zysków w latach wysokich cen rolnych, inwestowała tylko w granicach uzyskiwanych dochodów. Biorąc pod uwagę krótki okres dobrej konjunktury, nie mogły one zbytnio wykroczyć poza zwiększanie nakładów bieżących, nie obciążając się równocześnie zobowiązaniami na lata przyszłe.

Kredyty, które inwestowano w gospodarstwa intensywne, były drogie i krótkoterminowe. A skoro przy niskiem oprocentowaniu kapitału w gospodarstwie rolnem tylko tani kredyt długoterminowy jest właściwym dla rolnictwa — rozumowanie rolnika (o ile takie było) obciążającego swój majątek takim długiem musiało być następujące: albo wysokie ceny utrzymają się przez dłuższy szereg lat,

*) Pomijam tu wypadki obdłużenia z tytułu działów rodzinnych i kupna majątku na spłaty, co nie ma bezpośredniego związku z długami wynikłemi z działalności gospodarczej rolnika.

albo w najbliższym czasie nastąpi inflacja. Tak jedna jak druga kalkulacja okazała się zawodna. To zaś, że przedsiębiorca ponosi ryzyko swych koncepcyj jest rzeczą normalną.

Są jednak dwa momenty, które zwalniają do pewnego stopnia konto błędnej kalkulacji rolnika obciążając natomiast rachunek polityki gospodarczej: 1) łatwość udzielania kredytów i zachęta w tym kierunku ze strony państwowych instytucyj finansowych, 2) propaganda w kierunku intensyfikacji rolnictwa i zwiększenia wydajności ziemi (osławione hasło: „o 1 q więcej z ha").

Dziś jeszcze pokutuje u nas opinja, że dobrem gospodarstwem rolnem (które warto oglądać, podziwiać, w niem praktykować) jest gospodarstwo intensywne (budynki jak fortece, makuchy sypane garncami w żłoby, 5 rodzajów nawozów sztucznych pod uprawy itp.). Zapomina się jednak, że celem gospodarstwa jest uzyskanie największego dochodu czystego i że są warunki, w których maksymalny dochód czysty nie jest proporcjonalny do zwiększenia nakładów. Zdrowym zatem wydaje się być ten warsztat rolny, który w warunkach ekonomicznych i przyrodniczych, w jakich się znajduje, daje możliwie największy dochód czysty.

„Zdrowe" zatem były intensywne gospodarstwa rolne w Wielkopolsce w okresie przedwojennym, ze względu na specjalnie korzystne warunki, jakie dawało im uprzywilejowanie tej dzielnicy w tym zakresie przez rząd pruski. Przestają być natomiast zdrowemi z chwilą zmiany tych warunków, — dziś są one przeinwestowane, przeciążone kapitałami. Niezdrowe są gospodarstwa, które inwestowały z kredytów w latach dobrej konjunktury, gdyż stosowały się do chwilowo pomyślnej sytuacji, a nie do warunków ogólno - gospodarczych, zwłaszcza jeżeli, co często się zdarzało, intensyfikacja ich była powierzchowna, polegająca na stosowaniu nakładów bieżących, bez wykorzystania organicznych zdolności produkcyjnych gospodarstwa (np. stosowanie nawozów sztucznych przy złej uprawie roli i zaniedbaniu obornika).

W tem oświetleniu przyciągają uwagę, mało intensywne a może nawet ekstensywne gospodarstwa rolne, nie obciążone długami, które w obecnej chwili nietylko wykazują opłacalność, ale nawet decydują się na pewne inwestycje, drobne, stopniowo wykonywane, ściśle kalkulowane; gospodarstwa te niejednokrotnie z budynkami drewnianemi, a nawet pod strzechą, gospodarstwa nieefektowne, a jednak zdrowe, bo przystosowane do warunków, w jakich jest im dane pracować w Polsce, wyniszczonej gospodarczo, ubogiej w kapitały, konsumującej poniżej poziomu europejskiego, wydają się być temi, których pomyślna przyszłość nie może ulegać wątpliwości.

BRONISŁAW RIMMER

NASZ PRZYWÓZ

Polski przywóz towarowy w obecnym okresie może być nietylko w dużej mierze zwierciadłem konjunktury, ale — co więcej — wykazywać poważne przeobrażenia strukturalne, jakim ulega nasze gospodarstwo narodowe, przeobrażenia, które nie zawsze uznaćby należało za pomyślne.

Tak jest — mamy zamiar poświęcić niniejsze uwagi *przywozowi*. W dobie nigdy niekończących się dyskusyj *wywozowych*, rozważań o tem, co, jak i w jakim kierunku mamy zbywać zagranicą, zapomnieliśmy całkowicie o przyglądaniu się drugiej stronie naszej wymiany gospodarczej ze światem — naszemu przywozowi. Jeśli mówi się o nim tu i ówdzie, to zawsze z tej racji, że jakoś dzieje się tak, że w danym punkcie, na danym odcinku jest on jakoby „zbędny", że konkuruje on z jakąś gałęzią produkcji krajowej, że wydajemy nań „niepotrzebnie" pieniądze z racji jego „luksusowości", że — wniosek jest zawsze jeden i ten sam — trzeba coś z przywozu obciąć, coś „ukrócić", coś zmniejszyć. Innych dyskusyj na temat przywozu niema. A niesłusznie. Bo z jego analizy dowiedziećby się można bardzo interesujących i dość nieoczekiwanych rzeczy.

Spójrzmy na nasz przywóz w ciągu 11-u miesięcy r. ub. (bez grudnia, dla którego nie mamy jeszcze statystyk szczegółowych). Cóż widzimy? Dalsze zmniejszenie się jego *wartości* w stosunku do 1933 r. Objaw zdawałoby się niewątpliwie niekorzystny. Stwierdzono już bowiem powielekroć, iż miesięczny przywóz o przeciętnej wartości ok. 60 milj. zł. stanowi nasze minimum życiowe, stanowi tę minimalną sumę dóbr, którą nasze gospodarstwo *musi wchłonąć* zzewnątrz, aby żyć. Im bliżej będziemy tej dolnej granicy, tem gorsze wystawiamy świadectwo chłonności naszego rynku, tem jaśniej musimy sobie uświadamiać spadek spożycia, jaki na nim panuje. W 1931 r. mieliśmy wartość miesięcznej przeciętnej przywozu równą 122,3 milj. zł., w 1932 r. — 72 niespełna milj. zł., w 1933 r. — 69 milj. zł., a w r. ub. wahać się ona musiała wokół 66 niespełna milj. zł. Spadek zatem jest nieprzerwany.

Ale wniosek, wyprowadzany z kształtowania się samej tylko *wartości* naszego przywozu byłby jednak zbyt pochopny. Istnieje przecież jeszcze pewien ruch cen światowych, który — idąc nieprzerwanie wdół — powyższy obraz zmienia. Otóż, o ile weźmiemy nie wartość ale *objętość* naszego przywozu, stwierdzimy, iż miesięczna przeciętna w 1931 r. wynosiła wprawdzie 244,2 tys tonn, że w 1932 r. spadła ona raptownie do 149 tys. ton, ale że już w 1933 r. podniosła się ona znów do 196,3 tys. ton, a w r. ub. wahała się wo-

kół 211 tys. tonn. Widzimy więc paradoksalne napozór zjawisko: w okresie trzech ostatnich lat przywoziliśmy z zagranicy coraz więcej za coraz to mniejszą sumę. Przeciętna miesięczna wartość naszego przywozu w r. ub. jest *mniejsza* prawie o 9% od przeciętnej naszego przywozu w 1932 r., podczas gdy ilościowo przywóz ten jest *większy* przeciętnie od przywozu z przed trzech lat o przeszło 41%.

Odpowiedzieć można na to, jak wskazaliśmy już poprzednio, wyjaśnieniem zniżkowego ruchu cen światowych. W pierwszym kwartale 1932 r. wskaźnik cen tych wynosił (przy przeciętnej z 1928 r. = 100) 60,6, a w 1934 r. — ok. 48. Ale biorąc pod uwagę spadek cen przez *cały* 1932 rok, stwierdzimy, iż w 1934 r. był poziom ten niższy od *przeciętnego* poziomu w 1932 r. zaledwie o jakieś najwyżej 16%. Wynikałoby z tego, iż, stosując w wyliczeniu naszego przywozu korekturę światowego spadku cen, wartość naszego przywozu w r. ub. powinnaby być jednak mimo to wyższa od wartości rzeczywistej tego przywozu o dobre 28%. Jakież są przyczyny tego niezwykłego zjawiska?

Przyczyny te — jak zaraz zobaczymy dokładniej — leżą nietylko w zmianach ilościowych w naszym przywozie i w zmianach cen światowych, ale przedewszystkiem w głębokich przemianach, jakim ulega *charakter* naszego przywozu. Aby uwidocznić naocznie te przemiany, sięgnijmy znów do kilku cyfr.

Biorąc nasz przywóz za 11 mies. 1928 r., stwierdzimy, iż 44% jego wartości przypadało na wyroby gotowe, 38% — na surowce i półfabrykaty a 18% — na artykuły spożywcze. Co można z racji takiego ustosunkowania się poszczególnych grup przywozu powiedzieć o charakterze danego kraju importującego? Z dużą dozą ścisłości powiedzieć można, iż jest to kraj o mieszanej strukturze rolniczo - przemysłowej z przewagą rolnictwa, że spożycie jest dość wysokie (kraj rolniczy, który przywozi za 18% wartości swego całego przywozu artykułów spożywczych...), ale nie zaduże, że jednak przemysł w kraju tym odgrywa dość znaczną rolę, czego dowodem jest dość duży przywóz surowców i półfabrykatów. Taki pogląd — umyślnie nieco prostolinijnie przez nas wyrażony — odpowiadałby jednak istocie rzeczy.

Weźmy teraz zaraz następny rok — rok 1929 (koniec wysokiej konjunktury). Widzimy, że zachodzą w wewnętrznem kształtowaniu się naszego przywozu duże zmiany. Całość przywozu jest już *mniejsza* w swej wartości od szczytowego roku 1928-go o jakieś 7%, ale w tej lekko zmniejszonej wartości ogólnej mamy już tylko 12% udziału artykułów spożywczych, a natomiast 46% udziału wyrobów gotowych i 42% — surowców i półfabrykatów. Niema wątpliwości, iż na tej raptownej zmianie zaważyło przerwanie przywozu zboża, ponadto jednak normalne kształtowanie się stosunku poszczególnych grup przywozowych nie ulega zmianie.

A teraz porównajmy układ ten z przywozem w ciągu 11 mies. 1934 r. To, że wartość ogólna przywozu stanowi mniej niż 25% wartości z 1928 r. jest rzeczą ogólnie znaną. Ale w ramach tego niesłychanie skurczonego przywozu mamy przywóz artykułów spożywczych z udziałem 10%, udział wyrobów gotowych — 33% i udział surowców oraz półfabrykatów — 57%.

W rezultacie w 1934 r. przywieźliśmy w stosunku do 1928 r. mniejwięcej za sumę siedem razy mniejszą artykułów spożywczych, za sumę ok. pięć razy mniejszą wyrobów gotowych i — za przeszło jedną trzecią surowców i półfabrykatów.

Z tych liczb (które — oczywiście — tłomaczą zupełnie jasno pozorne rozbieżności między zmianami w objętości i wartości naszego przywozu w ciągu lat ostatnich) można wyprowadzić, naszem zdaniem, wcale interesujące wnioski nietylko konjunkturalne ale i strukturalne.

Zacznijmy od pierwszych. Jak można określić sytuację kraju, gdy ma się do czynienia z następującemi elementami jego przywozu z zagranicy: zwiększanie się objętości przywozu ogólnego na skutek zwiększania się przywozu surowców i półfabrykatów, silny i niezmienny spadek przywozu artykułów spożywczych i nieomal równie wydatny spadek przywozu wyrobów gotowych?

Jeśli chodzi o kurczenie się (objętościowo i wartościowo) przywozu głównych artykułów spożywczych z zagranicy, to stwierdzić trzeba jako przyczynę tego dalsze *kurczenie się spożycia* szerokich mas ludności. Spadek (jakkolwiek ostatnio już niebardzo silny) przywozu takich artykułów jak herbata, kawa, kakao, śledzie — dowodzi tego nieodparcie. Nie bez znaczenia jest tu zresztą (nawiasem mówiąc) fakt, iż przywóz większości tych głównych naszych spożywczych importów zagranicznych służy jako fundament dla finansowania naszego eksportu — głównie zamorskiego (kompensata), co z konieczności podraża cenę przywożonego produktu i utrudnia jeszcze silniej jego zbyt na naszym i tak słabo chłonnym rynku.

Drugą grupą kurczącego się naszego przywozu artykułów spożywczych są te artykuły, które bezpośrednio lub pośrednio konkurują z produktami naszego rolnictwa i których przywóz zatem ulega sztucznym ograniczeniom (owoce, ryż, niektóre oleje jadalne). Przywóz zbóż, istniejący w niewielkim zresztą i incydentalnym stopniu w 1933 r., w r. ub. ustał nieomal zupełnie.

Mamy więc już jedno niewątpliwe spostrzeżenie: dalszą redukcję spożycia szerokich mas w dziedzinie t. zw. artykułów spożywczych pierwszej potrzeby. Jak to pogodzić z niewątpliwym wzrostem wartości przywożonych surowców i półfabrykatów, a — co ważniejsza — jak ów wzrost wartości surowców połączyć z dalszem kurczeniem się przywozu wyrobów gotowych? Albowiem rozumowanie uproszczone mogłoby np. wyglądać w sposób następujący:

„Polska znajduje się w tej fazie konjunkturalnej, kiedy ożywienie, jakie nastąpiło w produkcji, nie zdołało odbić się jeszcze na wzroście konsumcji. Właśnie wskutek tego przywozimy więcej surowców i półfabrykatów, a ciągle coraz mniej artykułów spożywczych."

Czy takie uproszczone rozumowanie byłoby słuszne? Niewątpliwie — nie. Albowiem przy

bliższej analizie dochodzimy do następujących o wiele mniej wyraźnych stwierdzeń.

Wcale nie wynika ze zwiększania się wartości przywożonych do nas surowców i półfabrykatów, abyśmy istotnie w tym dziale przywozili odpowiednio więcej. W szeregu wypadków gra tutaj dość wyraźnie zaakcentowany na rynkach światowych *lekki, ale niewątpliwy wzrost cen* niektórych surowców światowych. Tak np. w r. ub. wełny przywieźliśmy nieco mniej niż w 1933 r., ale kosztowała nas nieco więcej; bawełny przywieźliśmy więcej o ok. 11% a zapłaciliśmy za nią około 15% więcej; kauczuku — o 60 proc. więcej, płacąc zań przeszło 100% więcej i t. d. i t. d. Wniosek z tego jest taki, iż wprawdzie tu i ówdzie ma się do czynienia z wyraźnym ilościowym wzrostem przywozu surowców, ale o silnym wzroście wartości tej grupy przywozowej (a przez to i udziału jej w całości przywozu) decydują zmiany w poziomie cen światowych, które dały się odczuć już w tej grupie, nie ukazując się ani na chwilę w dziedzinie produktów spożywczych ani w wyrobach gotowych...

W przywozie wyrobów gotowych zresztą również trudno byłoby szukać oznak jakiegoś wyraźniejszego „ożywienia" w przemyśle. Niewątpliwie — pewne pozycje przywozowe maszyn wzrosły, inne natomiast — zmalały ponownie. Jednolitej tendencji doszukać się naogół trudno. Wydaje się, iż znaczna część ożywienia wewnętrznego nie znajduje swego odpowiednika w odnowieniu środków produkcji, że raczej ogólna tendencja kieruje się do wyeksploatowania istniejących. Niektóre działy przywozu w tej grupie skurczyły się nawet bardzo raptownie naskutek prohibicyjnej polityki celnej (samochody, podwozia, itd.).

W sumie zatem konjunktura nasza w zwierciadle przywozu przedstawia się, jak następuje: dalsze ograniczenie konsumcji szerokich mas (nieodpowiadające zresztą ściśle fluktuacjom w poszczególnych pozycjach przywozowych, a to zarówno z uwagi na wzmożoną ochronę produkcji rodzimej jak i sztuczne obciążanie przywozu niektórych artykułów na rzecz wywozu), lekki wzrost przywozu niektórych surowców, odpowiadający niewątpliwie lekkiemu wzrostowi produkcji krajowej przy braku wszelkiego wyraźniejszego ruchu inwestycyjnego.

Owa mnogość zazębień się i zahaczeń, wynikających zarówno ze zmian, zachodzących na rynkach światowych, jak i w szczególności z posunięć własnej naszej polityki gospodarczej, mnogość, która zaciemnia i przeszkadza normalnemu rozwijaniu się pewnych procesów konjunkturalnych, skłania nas — na podstawie najogólniejszej nawet analizy naszego przywozu — do postawienia tezy, iż właśnie na tym odcinku, na odcinku penetracji towarowej z zagranicy na nasz rynek najłatwiej bodaj ocenić wyniki tych *częstych sprzeczności* w posunięciach polskiej polityki gospodarczej, jakie wynikają z t. zw. łatania dorywczego punktów, „gdzie się rwie", łatania, niezawsze umożliwiającego przeprowadzanie konsekwentne zasadniczej linji polityczno - gospodarczej w danym okresie.

Forsowanie wywozu przy jednoczesnem wydatnem sztucznem kurczeniu przywozu na rynek o słabej chłonności musi w obecnej dobie niepodzielnego panowania zasady „do ut des" w polityce handlowej stwarzać wyraźne trudności. W szczególności konieczności wywozu rolnego przy jednoczesnem chronieniu być może nadmiernie szerokiego wachlarza produkcji przemysłowej, dalej — niezbędność wywozu niektórych surowców i półfabrykatów (słaby zbyt wewnętrzny) przy chronieniu absolutnie *wszystkich* gałęzi produkcji rolnej — oto „węzły gordyjskie" naszej polityki gospodarczej, widzianej sub specie analizy przywozowej.

I nie sposób oprzeć się wrażeniu, iż właśnie na tym odcinku, gdzie związek gospodarstwa naszego z zagranicą pozwala na niewątpliwie nienazbyt dokładne ale właśnie dlatego *przejrzyste* zaszeregowanie poszczególnych faktów do takich czy innych zagadnień naszej sytuacji wewnętrzno - gospodarczej, owe sprzeczności, o których była mowa, występują nader wyraziście i — co więcej — nasuwają dość niepokojące refleksje już nie konjunkturalnego ale wyraźnie *strukturalnego* charakteru. Musi się, mianowicie, tu i ówdzie przesuwać myśl i obawa, czy przypadkiem w naszem dążeniu do załatania *wszystkich* dziur, do złapania *wszystkich* srok za ogon nie oddziaływujemy na formowanie się nowej pokryzysowej *struktury* gospodarczej w Polsce w sposób zbyt radykalnie odbiegający od tego, co nazywaliśmy w dawnych liberalnych czasach międzynarodowym podziałem pracy? Czy w naszych zasadniczo najzupełniej uzasadnionych posunięciach nie idziemy tu i ówdzie *zbyt daleko?*

Na to pytanie nie odpowiemy w tej chwili napewno. Ale wartoby — właśnie nie na podstawie analizy „od wewnątrz" ale „od zewnątrz" nad niem się zastanowić.

NOTATKI

ODDŁUŻENIE A PODATKI

Rozporządzenia w sprawie oddłużenia rolnictwa są to niewątpliwie akty prawodawstwa gospodarczego o bardzo dużem znaczeniu. Stanowią one podstawę do akcji oczyszczenia stosunków finansowych na wsi. Intencją prawodawcy w tym wypadku było przyśpieszenie procesów sanacyjnych, oddzielenie gospodarstw zdrowych, które będą mogły dzięki akcji oddłużeniowej odzyskać równowagę finansową, od gospodarstw zbyt silnie zadłużonych, które muszą ulec likwidacji.

Wprowadzenie w życie przepisów rozporządzeń oddłużeniowych pociągnie za sobą bardzo poważne straty dla wierzycieli warsztatów rolnych. Znaczne ofiary poniesie też Skarb Państwa. Oddłużenie rolnictwa będzie więc stanowić poważne „przeżycie" dla organizmu gospodarczego Polski.

Tem ważniejszym staje się postulat, by przy tak znacznych ofiarach nie wypaczono zasadniczej idei rozporządzeń oddłużeniowych — jaknajśpieszniejszego oczyszczenia warsztatów rolnych, zdolnych do egzystencji od nadmiernych długów. Do tego nie wystarczą same przepisy rozporządzeń oddłużeniowych. Cały aparat polityki gospodarczej Państwa musi być nastawiony w tym kierunku.

I tak w jaskrawej sprzeczności z rozporządzeniami oddłużeniowemi pozostają niektóre przepisy w sprawie wymiaru podatków. Weźmy naprzykład przepis, iż spłatę długów należy zaliczać przy wymiarze podatku dochodowego jako wzrost dochodu. Przy ostrej progresji w wymiarze podatku dochodowego rolnikowi może się nie opłacić wysiłek w kierunku przedwczesnego spłacania długów. Wszystko to bowiem co mógłby zyskać dzięki dobrodziejstwom rozporządzeń oddłużeniowych może stracić z racji zwiększonego podatku dochodowego.

W tych warunkach nasuwa się jako nieodparta konieczność sprawa rewizji niektórych przepisów podatkowych w stosunku do podlegających oddłużeniu warsztatów rolnych, by wysiłek społeczeństwa i Skarbu Państwa idący w kierunku uporządkowania spraw finansowo - rolnych nie natrafiał na drobne lecz istotne przeszkody. *b. ł.*

LEKKOMYŚLNOŚĆ

„Ogólną ilość kapitału obcego w naszych przedsiębiorstwach można przyjąć, szacując bardzo ostrożnie, na około 6 miljardów złotych, a sumę wywożoną zagranicę z tytułu zysku i procentów na 600 miljonów zł. rocznie... Według danych Głównego Urzędu Statystycznego R. P. wartość majątku państwowego netto wynosi 12.617 miljonów złotych. Z powyższego wynika że przy istniejącym stanie rzeczy w ciągu około 20-tu lat będziemy zupełnie wywłaszczeni z naszego majątku narodowego".

„Droga" Nr. 11 — 1935. Stanisław Tezet; „Kapitał zagraniczny a prywatny przemysł krajowy". str. 1022.

Powyższa cytata wyjęta jest dokładnie i bez złośliwości z poważnego czasopisma, dającego również w dziedzinie gospodarczej prace solidne i ciekawe. W tych warunkach i cytata i cały artykuł p. Stanisława Tezeta jest raczej smutny, niż zabawny.

Nie zajmowalibyśmy się owym artykułem, gdyby nie wrażenie, że jest on charakterystyczny dla pewnego typu poglądów, na szczęście rzadko drukowanych, natomiast tem szumniej wygłaszanych. Poglądów, będących szczególnie ostrą formą owej „autarkji myślenia", na której niebezpieczeństwo zwracał niedawno uwagę na łamach „Gospodarki" p. dr. Łychowski, formą spotworniałą i wręcz karygodną, wywodzącą się — świadomie czy nieświadomie — z niewiary w możność rozwoju gospodarczego Rzplitej, niewiary, graniczącej z defetyzmem. Mamy tu bowiem do czynienia już nie z niedocenianiem zagadnień zagranicznych, a z celową choć bezkrytyczną i nieuzasadnioną chęcią odgradzania się od zagranicy, argumentowaną tem, że zawsze będziemy partnerem słabszym, mogącym tylko stracić, a nie mogącym nic zyskać.

Tenor artykułu jest taki: warunki produkcyjne w Polsce są tak złe, że kapitał inwestowany w przemyśle nie może się rentować tak dobrze, jak w innych krajach; dowodem tego jest, że kapitał zagraniczny ucieka, przy pomocy metod rabunkowych; niską rentownością przemysłu może się zadowolić tylko państwo, powinno ono więc przejąć przemysł na swą własność.

Wydaje się, że impulsem do wypowiedzenia tych poglądów były zaszłe ostatnio wypadki naruszenia, przez niektórych kapitalistów zagranicznych, strzeżonych prawem interesów społeczeństwa i jednostek, co jak wiadomo — spowodowało wkroczenie rządu. Wypadki te są u nas niekiedy komentowane w ten sposób, jakoby przekroczenie praw było cechą naturalną i swoistą kapitałowi zagranicznemu, który przeto *musi* prowadzić gospodarkę rabunkową. Z tego nielogicznego założenia wyciąga się wniosek — z natury rzeczy błędny — że trzeba wytoczyć walkę kapitałowi zagranicznemu. P. Stanisław Tezet starał się udowodnić, że w naszych warunkach gospodarczych kapitał zagraniczny musi mieć tendencje rabunkowe i do tego właśnie dowodzenia niezbędnem mu było założenie, że rentowność przemysłu w Polsce nie może być równie dobra, jak gdzieindziej.

Zgoda na owo założenie, powzięta tak łatwo, że aż z pominięciem przez siebie samego cytowanych liczb o rencie 10%-wej, jest właśnie najbardziej charakterystyczna. Swego czasu mówiło się, w sposób niebardzo ugruntowany, że Polska jest krajem mlekiem i miodem płynącym, mającym wszelkie dane na to, aby stać się w świecie wyspą wyjątkowej szczęśliwości i bogactwa. Teraz zaś mamy do czynienia z objawami reakcji psychicznej, równie nieugruntowanej, lecz szkodliwszej, bo prowadzącej ku nastrojom defetystycznym. Nie można niedoceniać nastrojów tworzonych w społeczeństwie, również wówczas, gdy nastroje te nie mają logicznych podstaw. *w. j.*

GĘSIA SPRAWA

Tak mało stosunków łączy nas z Litwą współczesną, kraj ten tak skromną rolę odgrywa w gospodarce światowej, że znana z wiadomości prasowych sprawa: zarządzenie władz litewskich nakładające na urzędników państwowych obowiązek skonsumowania określonej ilości gęsi — nie przyciągnęła niczyjej prawie uwagi. A jednak jest ona tej uwagi godna. Nietylko dlatego, że sam pomysł przymusu konsumowania gęsi zawiera coś humorystycznego. Również, a nawet przedewszystkiem dlatego, że mamy tu do czynienia ze zjawiskiem klasycznem (chciałoby się powiedzieć klinicznem) dla pewnego typu myślenia polityczno - gospodarczego. Jak wiadomo, wobec uniemożliwienia eksportu gęsi do Niemiec, rolnictwo litewskie znalazło się w sytuacji bardzo dotkliwej ze względu na znaczenie tej pozycji w litewskim eksporcie rolnym. Jak wiadomo, Rząd litewski, szukając wyjścia z tej sytuacji, nałożył na urzędników obowiązek zakupywania gęsi po określonej zgóry cenie, przyczem również zgóry określona została ilość gęsi jaką urzędnik pobierający dane uposażenie powinien nabyć. Dla ministra kwota ta wynosi coś około 50 gęsi w okresie jesieni i zimy, dla dyrektora departamentu — nieco mniej, dla radcy ministerjalnego — już tylko dwadzieścia kilka. Ponieważ apetyty i zamiłowanie do gęsiny nie są proporcjonalne do zajmowanego stanowiska służbowego, więc tylko kategorja najniżej płatnych, a więc obciążonych najmniejszym kontyngentem zakupu, urzędników konsumuje „swoje" gęsi. Reszta pozbywa się ich w ten czy inny sposób. Przytułki w Kownie nie przyjmują już podobno ofiar w postaci gęsiny. Czy część gęsi nie wraca spowrotem na rynek (oczywiście po cenie kilkakrotnie niższej) nie sposób powiedzieć. W każdym razie od czasu wydania zarządzenia rządowego wytworzyły się na Litwie dwie ceny na gęsi: jedna — na gęsi zaliczone do kontyngentu urzędniczego (możnaby powiedzieć prościej gęsi urzędnicze) i zaopatrzone w stosowne zaświadczenia, druga — na gęsi zwykłe. Ta ostatnia cena zresztą wyraźnie zniżkowała. Nie na tem koniec. Obok handlu gęsiami pojawił się na Litwie handel gęsiemi świadectwami. Posiadacz gęsi kontyngentowej, zaopatrzonej w zaświadczenie sprzedaje to zaświadczenie kupcowi, który zaopatruje niem „gęsi drugiej klasy", nieuprzywilejowane, ale za to wyhodowane bliżej rynków konsumcyjnych. Podobno zresztą bywają również wypadki nabywania przez konsumentów — urzędników, zamiast gęsiny samych tylko gęsich zaświadczeń. To oczywiście tylko te efekty, które dają się najłatwiej zaobserwować. Dla pełnej oceny należałoby jeszcze zorjentować się w jaki sposób przymus zakupu gęsi wpłynął na zmniejszenie konsumcji i zniżkę cen innych artykułów spożywczych.

Gęsia sprawa stanowi niewątpliwie wypadek krańcowy i jaskrawy w swej prostocie, ale tembardziej wyraźna jest iluzoryczność przypuszczenia, że w drodze zarządzeń przymusowych da się stworzyć konsumcję, której niema, siłę nabywczą, której niema. Warto o tem przypomnieć wszystkim tym którzy na każdą dolegliwość łatwo znajdują remedium w postaci projektów narzucenia przymusu zakupu danego towaru tej czy innej instytucji publicznej, tej czy innej gałęzi życia gospodarczego.

c. k.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" CZESŁAW BOBROWSKI

SEKRETARZ REDAKCJI ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4. TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Druk. Piotra Laskauera, Warszawa, Marjensztadt 8.